

MAX

MARGINESY

CEGIELSKI

PRINCE POLONIA



COPYRIGHT © BY Max Cegielski 2020

by arrangement with Agencja Literacka Syndykat Autorów

COPYRIGHT © FOR THIS EDITION BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2020

Chcieliśmy rozumieć świat i nasze w nim losy w kategoriach racjonalnych konieczności i nie chcieliśmy już więcej uczestniczyć w tajemniczym dramacie, którego sens zapisany jest w niebie. Myślę, że podobne pragnienia wygnały Conrada z mrocznej sceny narodowego misterium. Wymarzona w młodości morska przygoda była tylko malowniczą winietą. Przygodą i większą, i prawdziwszą miało stać się zaznanie świata nieskażonego wzniosłym kalectwem. Bo jak inaczej wytłumaczyć sobie graniczącą z kultem fascynację rzeczowością, solidnością, skutecznością działania?

Jan Józef Szczepański, *W służbie Wielkiego Armatora*,
w: *Przed nieznanym trybunałem*

I. Indie 1987

Fantasy,

Fantasy.

I can't wait forever, take me to the life.

Danuta Lato, *Touch My Heart*

Check in: Odkrycie Indii

– *Mister, taxi? Polska? Vodka? Witaj India!* – mówiło naraz kilkanaście głosów.

Faceci pchali się, poszturchiwali, napierali na Radosława. Usiłował nie patrzeć na ich twarze, utkwiał wzrok w ziemi. Popękany, nierówny asfalt pokrywały krwawe czerwone plamy, ślina, niedopałki, łupiny egzotycznych owoców, które widywał w supermarketach Berlina Zachodniego i na targach Sztambułu. Śmierdziało, a dźwięki i obrazy atakowały równie intensywnie jak zapachy i ludzie. Chciał odsunąć się od brązowych, obcych ciał, ale potknął się o stos łupin orzechów kokosowych. Wydawało mu się, że piętrzą się jak czaszki ludzi składowanych w ofierze czarnej bogini Kali. Kokosy widział wcześniej tylko na opakowaniach puszek, uważał je za symbol egzotycznego luksusu, ale tutaj wyglądały groźnie, wręcz ohydnie.

Podniósł wzrok wyżej. Otaczały go rozpięte koszule, brunatne włochate torsy, na szyjach wisiały nie złote łańcuchy, lecz tajemnicze ozdoby. Wyżej ciemne twarze, białe zęby, rozdęte nozdrza, wąsy i turbany, chusty zawinięte na głowach. Za ramię złapała go duża, brązowa, silna dłoń, jej właściciel miał na przegubie czerwoną nić, a na czole wymazaną szkarłatną kreskę. Uśmiechał się szeroko, ukazując uzębienie zbryzgane krwią, usta wypełnione rubinowym sokiem.

– *Mister Polska? Tania taxi, miasto. Tania hotel. Good hotel.*

To nie był pan Abbas, witający Wilmowskiego na pierwszych stronach *Tomka na tropach Yeti*, głos nie zwracał się uprzejmie do „szlachetnego sahiba”. Gadał polsko-angielskim slangiem szarej strefy.

Radosław chciał uciec, wyszarpnąć rękę i odepchnąć faceta, ale poczuł się zbyt zmęczony i skacowany, każdy ruch ciała w indyjskim powietrzu trwał dwa razy dłużej niż w Polsce. Nie potrafił zmusić nóg do szybkich kroków, szczerze oblepiali go ludzie, egzotyczne wonie z ich ust oraz wilgoć Indii, a plecak bardzo mu ciążył.

Usłyszał głos Jana przebijający się przez zamęt.

– *No, no. Niet, thank you, spasiba, dankeszen. No, no* – trąkotał jego współnik w różnych językach.

Delikatnie, lecz stanowczo odsuwał od Radka taksiarzy, kierowców, pośredników, cinkciarzy, cwaniaków, oszustów i zwykłych ciekawskich. Ramieniem zagarnął kolekę i wyciągnął go z tłumu natrętów, przestawił parę metrów dalej, prosto pod rozklekotany autobus. Radek oparł się o maszynę, ale natychmiast odskoczył, oparzony rozgrzaną blachą. Zdjął plecak i przysiadł w kucki, ciężko oddychając. Odgarnął na boki długie, lekko kręcone blond włosy klejące się od potu. Postanowił, że od tej pory będzie je spinał w kucyk.

Na jego łagodnej twarzy malował się strach, jasna cera pokryła się czerwonymi plamami, niebieskie oczy zaszyły mgłą. Za to Janowi dopisywał humor. Karnacja tylko trochę jaśniejsza niż u Hindusów i krótkie czarne włosy powodowały, że mógł od biedy uchodzić za miejscowego. Stał w lekkim rozkroku. Podekscytowany lądowaniem na obcej planecie rozglądał się i komentował z uśmiechem:

– W pale się nie mieści, co? Kurwa, Indie pełną gębą!

– Pełną krwi?

– Żują coś, co barwi na czerwono. Ciekawe co to. Niezły pierdolnik.

– Strasznie się pchają. Widocznie taka kultura.

– Zgadza się. Co kraj, to obyczaj, ale jak Szwed schodzi z promu w Świnoujściu, to tak samo, nie?

– Przesadzasz, u nas tak nie ma.

- Tu więcej ludzi, to i tłok większy. Statystyka tak działa, wiadomo.
- Tym złomem jedziemy? – Radek zmienił temat.

Było mu głupio, że pierwsze zderzenie z indyjską ulicą nie wypadło zbyt dobrze. Chciał pokazać, że w upale i zamieszaniu potrafi dyskutować na zimno o środkach transportu.

– To oficjalny bus z hotelu Relax – z dumą poinformował go partner i rąbnął pięścią w brudną, pogiętą blachę.

– Yes, yes, Relax! Polska hotel – potwierdził umorusany hinduski chłopak stojący obok, równie chudy jak Radek, ale niższy co najmniej o dwie głowy.

Pomagier kierowcy naganiający pasażerów strzyknął czerwienią na ziemię i podreptał w stronę wyjścia z terminalu lotniska. Ze środka wynurzyła się ostatnia grupa Polaków, zatrzymana wcześniej na kontroli celnej. Rozglądali się nerwowo. Lider bandy poprowadził ich do autobusu. Spokojnie zrzucił plecak i zapalił, głęboko zaciągnął się dymem. Spojrzał na chłopaków.

– Do Kocia?

– Jasne – odrzekł pewnie Jan, choć Radek pamiętał, że w notatkach nie mieli żadnego Kocia, tylko hotel Relax.

Gruby Polak w czerwonym dresie Polsportu i czapeczce pod kolor szybko przejrzał ich na wylot.

– Pierwszy raz, co?

– No... tak, ale wiemy, że do Relaxu. To jest ich bus. – Radek próbował udowodnić, że świetnie odnajduje się na obcej ziemi.

– Nie pożałujecie. Marek jestem. – Mężczyzna wyciągnął łapsko, przywitali się. – A wy skąd?

– Szczecin!

– Ja ze stolicy. Przesrane z tymi nowicjuszami. – Wskazał na podopiecznych, nadal stojących z plecakami na ramionach. – Zrzućcie już te mandzury! – polecił im. – Zupełnie zieloni. Guzdrali się strasznie i wyhaczył nas celnik. Obora, nie ma co... Trzeba będzie wywozić ten gówniany depozyt do Nepalu i wracać... – Pyknął do-

palonego papierosa przed siebie, nawet nie rozglądając się za koszem, pet wylądował pomiędzy innymi śmieciami na ziemi. – Widzę, że wy nowi w Indiach, ale ogólnie już zaprawieni w bojach, co? Pogadamy jeszcze!

Zabrał się do ogarniania swojej grupki, niepewnej, czy naprawdę ma wsiąść do zdezelowanego autobusu.

Brakowało szyb, przez dziury w oknach wpadały spaliny i gęsty mrok tropików. Przez całą długą drogę z lotniska obserwowali, jak wstaje świt, głęboka węglowa czerń zamienia się w popielatą maź, ołowianą szarą mgłę. Im jaśniej, tym bardziej gorąco. Kiedy wjechali w wąskie uliczki centrum Delhi, widzieli już wyraźnie ruiny domów i namioty, chatki z odpadów i płacht zużytego materiału. Zniszczone, wypłowiałe napisy i nowe kolorowe szyldy zachodzące na stare tworzyły mozaikę znaków i kolejnych warstw. Na trotuarach dopalały się ogniska, resztki żaru rzucały nikły poblask na skulone sylwetki. Bezdomni spali na asfalcie, zawinięci w pozbawione barw szmaty, ciało przy ciele, jak ułożeni na taśmie w fabryce. Leżeli nogami w stronę samochodów, a głowami ku płotom i budynkom, żeby wykorzystać jak najwięcej miejsca, ale zagrożeni utratą stóp. Szare święte krowy brodziły majestatycznie w śmieciach i żarły odpady, więc Radek postanowił, że w Indiach nigdy nie napije się mleka. Trzymał mocno bagaż, zestrachany, że na jednym z zakrętów plecak się przewróci i pękną cenne kryształy.

Metalowy stelaż plecaka zaczął go uwierać już po paru krokach na obczyźnie, zdawał się ważyć dużo więcej niż nad Odrą, plastik gryzł skórę drażnioną upałem i wilgocią. Polskie Linie Lotnicze LOT, tak jak pozostali tani przewoźnicy z obozu socjalistycznego, musiały ciąć koszty, więc samolot wylądował w New Delhi w środku nocy. Chłopakom ze Szczecina i tak wydawało się, że prosto z klimatyzowanego pokładu skaczą na główkę w gorącą, lepką zupę, zanurzają się w rozgrzanej, wybuchowej mieszance malarycznego powietrza.

Znali kursy walut, w tym byli najlepsi. Latem 1987 roku dolar kosztował ponad tysiąc sto złotych, prawie dwa razy więcej niż w 1985 roku, kurs cały czas szedł w górę. W Indiach wart był około trzynastu rupii. Nie mieli pojęcia, co można kupić za trzynaście rupii, jeszcze nawet nie widzieli lokalnej waluty na własne oczy. Nie zdążyli nic przeczytać o tym wielkim kraju. Nie przyszło im do głowy, żeby studiować obyczaje, historię i kulturę subkontynentu. Schodząc po trapie, Radek intuicyjnie poczuł, że wreszcie znalazł się wystarczająco daleko od domu, w nowym, wspaniałym świecie.

Przed wyjazdem przejrzał maszynopis o jodze, który matka przyniosła z zajęć w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Indyjskiej. Z biblioteki wypożyczyła dla niego egzemplarz *Historii Indii*, ale przekartkowanie opasłego, nudnego tomu w żaden sposób nie przygotowało chłopaka na szok klimatyczny. Czuł się wciąż pijany po wyborowej, „Number 1 from Poland”, i mieszanu wódki z eksportowym *full light Żywiec beer*. Niedostępne w polskich sklepach puszkowane piwo roznosiły słowiańskie stewardesy w grantowo-białych mundurkach. Na płycie lotniska zataczał się, oszołomiony alkoholem, długim lotem, temperaturą i świadomością, że dotarł aż do Azji, jak wielcy odkrywcy z poprzednich epok. Miał nadzieję, że właśnie w tym momencie zaczyna prawdziwe życie, że od lądowania akcja przyspieszy jak po naciśnięciu guzika przewijania z podglądem w wideoplayerze. Zacznie się pasjonujący film i wszystko się zmieni. Nie był tylko pewien, czy zagra w kryminale, thrillerze, czarnej komedii, a może filmie akcji z elementami karate? W głębi duszy marzył o romantycznym melodramacie z sobą i Magdą w rolach głównych.

Grzechoczący „Relax Official Bus” rozjeżdżał odchody zwierząt i muskał stopy ludzi nocujących na asfalcie. Za bezdomnymi stały stragany na kółkach przykryte brezentowymi narzutami i rowerowe riksze, ich właściciele spali na miejscu dla pasażera, z nogami wyciągniętymi na kierownicy, zawinięci szczelnie w derki, jak trupy do spalania. Kobieta

niosła na głowie metalowy dzban pełen wody; pod ścianą wypróżniało się dziecko. Na skrzyżowaniach ziewali i drapali się policjanci z długimi bambusowymi pałami, obok parkowały żółto-czarne taksówki. Samochody marki Ambassador miały zaokrąglone kształty, kojarzące się z warszawami i przedpotopową przeszłością.

– Janek, jak my tu mamy robić kokosowe interesy? Przecież oni są jeszcze biedniejsi od nas!

– I o to chodzi w tym temacie. Takie prawo rynku. Bogatszy zarabia na biedniejszym, bo jest bogatszy. Odwrotnie się nie da! – Jan też nie spał, przyglądał się Indiom z rosnącym zaciekawieniem.

– Ale w zasadzie to my nie jesteśmy bogaci.

– W porównaniu z nimi? Kurwa, jesteśmy! Z naszymi paroma dolarami na Zachodzie nie mamy szans, tutaj są więcej warte. W takim Paryżu nie jesteś dla nikogo partnerem do biznesu, a w Delhi owszem. Masz przewagę kapitałową na starcie, masz gotówkę na inwestycje. Pierwszego miliona nie zarobisz w Europie, to jest możliwe tylko tutaj. Ja ci to mówię, jestem z Akademii Ekonomicznej, nie?

Janowi zrzedła mina dopiero na bazarze Pahargandź, w hotelu Relax. Polecone im miejsce, mekka polskiego kapitalizmu na Wschodzie, oaza czekająca na zdrożonych kupców z plecakami Polsportu, okazała się betonowym piętrowym barakiem. Już w hallu zalatywało grzybem. W pokoju ciężko było przejść pomiędzy łózkami, bagaż zajął całą wolną przestrzeń obok łazienki, w której pod ciekącym kranem stało brudne wiadro. Czerwone plamy, takie same jak na lotnisku, pokrywały pół ściany. Jan obiecał sobie, że rozwikła tajemnicę ich pochodzenia.

Chłopak z obsługi, umorusaniem nieustępujący naganiaczowi z autobusu, rzucił im tylko „Rano biznes” i zniknął. Oplukali twarze i położyli się na trzeszczących łózkach. Radek bał się rozebrać, przecieradło wyglądało na ciemniejsze niż świt za oknem. Słyszał wyrażenie, że w narożniku pokoju chrobocze duży gryzoń.

Czuli, że zaczynają otaczać ich pluskwy, więc rozmawiali, żeby odpędzić myśli o robactwie. Wspominali, jak w kołującym nad Indiami samolocie zapanowała cisza. Uczestnicy zorganizowanych wycieczek handlowych skupili się na lęku o swoje towary.

– A ta gruba czterdziecha? Pamiętasz, ile whisky kupiła baba w Dubaju?

– Może tęga, a nie gruba? Ale wiozła ze dwadzieścia butelek Jasia Wędrawniczka! Miała niezłego pietra, to prawda – przyznał Radek.

„Fly, buy, Dubai” było ich pierwszym kontaktem ze Wschodem oraz korzystną przebitką na butelkach johnniego walkera. Podczas międzylądowania, koniecznego – jak twierdził LOT – ze względu na tankowanie, pasażerowie mieli wolną godzinę na zakupy w ogromnym Duty Free Shopping Center. W sam raz, żeby wyciągnąć uciulaną walutę i zapłacić niecałe cztery dolary za litr whisky. Jak głosiła fama, w Indiach sprzedadzą go za dwadzieścia dolarów.

W New Delhi trwała budowa hali nowego terminalu, więc drogę z samolotu po mrocznej płycie lotniska musieli pokonać na piechotę. Skierowano ich do starego budynku, gdzie powietrze usiłowały wymieszać dziesiątki lepkich od brudu wentylatorów, z ich skrzydeł zwisały pajęczyny. Mimo wszystko było tu chłodniej niż na zewnątrz. Odetchnęli i po kontroli paszportowej skierowali się spokojnym krokiem do wyjścia z napisem „Nothing to declare”.

Paru hipisów z Zachodu zdecydowało się na tańszy lot przez Warszawę, żeby zaliczyć po drodze dodatkowe przygody w dzikim, komunistycznym kraju. Teraz rozglądali się niepewnie. Zadawali pytania obsłudze lotniska, nie wiedzieli, dokąd iść. Na *red line* do celników grzecznie ustawiali się tylko nieliczni Hindusi, wyglądający jak studenci medycyny lub politechniki w przerwie semestralnej, oraz polscy inżynierowie, którzy przylecieli na Wschód z misją budowania elektrowni i szybkiej modernizacji Trzeciego Świata. Do kontroli zgłosiło się też dwóch smutnych panów w ciężkich garniturach nieokreślo-

nego koloru i czerwonych krawatach. Obok dżentelmen jak wycięty z socjalistycznego żurnala i towarzysząca mu elegancka blondynka machali do urzędników dyplomatycznymi paszportami i stanowczo domagali się specjalnego traktowania.

Janowi i Radkowi udało się wysforować na czoło peletonu zmierzającego prosto na zieloną. Jan często stosował tę taktykę: na granicach państwowych szedł na pierwszy ogień, w forpoczcie. Liczył na to, że celnicy dopiero po chwili zainteresują się pasażerami i skupią na maruderach, a przepuszczą przodownika handlowego Wyścigu Pokoju. Sprawiał wrażenie, że chce zaliczyć najwięcej etapów w żółtej koszulce lidera klasyfikacji indywidualnej. Miał to we krwi, a w przemytniczym fachu trzeba być pewnym siebie, nie wolno okazywać strachu, pracownicy kontroli na całym świecie wyczuwają emocje podróżnych. Radek tylko naśladował kolegę, więc załapywał się na podium w klasyfikacji drużynowej, ale w przeciwieństwie do Jana bał się, że zostanie złapany na ostatniej prostej.

Fortel udał się i tym razem. Hinduscy urzędnicy dobrze wiedzieli, o której godzinie lądują poszczególne samoloty, znali na pamięć trasy, przewoźników i towary przemycane ze wszystkich miejsc na świecie, ale dopiero budzili się z drzemek w fotelach, wracali z papierosów i herbatek. Młodzi Polacy wkrótce mieli się przekonać, że celników interesowały przede wszystkim loty z Singapuru; z Warszawy przywózono drobnicę, niewartą ich przesadnego zainteresowania. Zaledwie paru handlowych turystów z demoludów, maruderów zamykających peleton, zatrzymano do kontroli. Prezentowali teraz zawartość bagaży. Torby i walizy wrzucono do prześwietlenia w rozpadającym się heimanie.

Nowoczesna technologia, jeszcze nierozpowszechniona w Indiach, wykryła żelazka i lokówki z PRL-u oraz alkohol z Emiratów Arabskich. O te dobra ich właściciele wyklócali się z celnikami. Góralka z Zakopanego, z odkurzaczem w torbie, łzami skruszyła serca urzędników. Taksówkarz, który pierwszy raz ruszył w tak daleką trasę,

miał uiścić ponad sto dolarów opłat celnych. Wściekał się na „brudasów” i żałował, że dał się namówić na tygodniową orbisowską wycieczkę do Azji. W myślach liczył, ile sto dolarów jest aktualnie warte u cinkciarzy pod gmachem Narodowego Banku Polskiego w Warszawie. Tęga, wręcz gruba jejmość z dwudziestoma butelkami whisky przeszła bokiem niezauważona. Cieszyła się, że po upłynieniu alkoholu oraz zawartości walizki wypchanej aparatami fotograficznymi Zenit zwrócą się jej pieniądze wpłacone pół roku wcześniej do kasy państwowego przedsiębiorstwa turystycznego. Koszt wycieczki, równowartość dwuletnich dochodów przeciętnego obywatela PRL-u, nie pójdzie na marne.

Jan zanotował w pamięci ważny szczegół: tylko frajerzy pozwalają sprawdzić swój bagaż w heimanie. Zauważył też kątem oka, że do celników i pechowego taksjarza ze stolicy podszedł pilot Orbisu, sprawnie opiekujący się swoją grupą, i nachylił się do ucha hinduskiego urzędnika. Po chwili debiutujący przemytnik z walizką elektrycznego sprzętu gospodarstwa domowego wsunął celnikowi do ręki zwitek banknotów i pomaszerował dalej, już uśmiechnięty i zadowolony. Pilot wycieczki na odchodne poklepał go po ramieniu. Członkowie spółki Szczecinex, wolni strzelcy, pozbawieni patronatu Orbisu, Almaturu czy choćby PTTK, wyszli natomiast bez przeszkód na zewnątrz. Całe hinduskie rodziny czekały tam na krewnych, synów, wnuków czy mężów wracających z egzotycznej, dalekiej, zamożnej Europy Wschodniej. Dwaj Polacy wygrali pierwsze starcie z Indiami.

W końcu zamilkli i słuchali tężejącego szumu ulicy. Delhi budziło się i rozkręcało, turkoty, dzwonki mieszały się ze śpiewami i krzykami ludzi, krzepły w ścianę codziennego indyjskiego jazgotu. Ciemne chmury wisiały nisko nad miastem, ciężko było wciągnąć powietrze do płuc. Głośno oddychali, pocili się obficie i powoli osuwali w wilgotne, ciepłe majaki senne.

Jedwabny szlak

Małe sprostowanie.

Welcome India, ale Radek, otoczony tłumem facetów, popchnął jednego z namolnych taksiarzy. Kiedy ten padał, ktoś odruchowo szturchnął gościa w drugą stronę, więc spadł na Radka, a on, przestraszony, zaczął okładać kierowcę pięściami. Udało mi się błyskawicznie przedostać do kumpla, złapać go i odciągnąć, lecz po drodze wyróciliśmy jakiegoś gapia i zaczął się młyn. W końcu przybiegli policjanci i równo spałowali całe towarzystwo.

Staliśmy już wtedy z boku i udawaliśmy, że zadyma nas nie dotyczy. Trochę śmiesznie, trochę strasznie, bo mordobicie na początek to zły znak, ale wtedy tego nie rozumiałem.

Zła karma. Na bank.

Aha, poza tym w hotelu wcale nie było takiego syfu, ale ok, to rzecz względna. Na pewno Relax i Kumara trudno zapomnieć. Zresztą można pojechać na Pahargandź, wziąć pokój i zapoznać się osobiście. Dalej siedzi w recepcji, coraz grubszy, kręci tłustego wąsa. Wciąż próbuje grać amanta z Bollywood. Wrzeszczy na pracowników, a jednocześnie pali kadzidła pod posążkiem Krysny. Dorobił się na nas, nie ma co. Teraz to normalny hotelik, może nie elegancki, ale w porządku. Powiedziałbym, że *upper level* w ramach *low budget*. Na piętrach kana-

py z drewna tekowego, na stolikach mosiężne misy, na podłodze duże słonie z drewna, podróbka antyków. Jest miły balkon ze stolikami, a na dole sklepik z indyjskimi towarami. Wszystko lekko przytyrpane, najlepsze lata ma za sobą. Kiedy przyjechalśmy, z ledwo co wybudowanego piętra wychodziło się na niewykończony dach. Tam, między słupami – Kumar już planował rozbudowę – suszyły się prześcieradła, a pod nimi robiliśmy balangi.

Szef był wtedy młodszy i szczuplejszy, jak my wszyscy, choć przy chudym Radziu robił wrażenie dobrze odżywionego. Wąsy nosił dłuższe i grubsze niż inni Hindusi, dlatego przezywano go Kocio. Trochę od imienia, a może dlatego, że był cwany jak koty? Łasił się i przymiłał, ale chodził własnymi drogami. Autobus na lotnisko podstawiał za darmo, bo mu się to opłacało. Wtedy na Pahargandżu szefowie różnych *lodge*, tanich hotelików, konkurowali o klientów, nawet takich z Polski, a on dzięki *free transport* miał *full* pokoje i stałą dostawę towaru na handel.

Dziś opowiada łatwowiernym polskim reporterom, że przyjeżdżaliśmy ze zniewolonego, komunistycznego kraju, więc nas wspierał, ale to bajki. „Kombatanci, kombatanci, pojebani partyzanci?”. Kocio uśmiecha się dobrodusznie i gada – tym swoim fatalnym angielskim – że Polacy przywozili towary, żeby im się podróż zwróciła. Ściemnia na całego, że czasem kupował biedatowar, żeby nam pomóc, a to był jego mega-, megabiznes, konwergencja skupu i sprzedaży z hotelem. Dwa w jednym, nie dało się na tym stracić. Pojedyncze suszarki czy aparaty nie były wiele warte, ale każdy Polak przyjeżdżał z pełnym plecakiem, walizką, torbą – setki, tysiące Polaków, przez lata, i to był sprytny biznesplan.

Respect, wiesz?

W Indiach też panował komunizm, gorszy niż u nas, bo jak wydożyć z nędzy miliard ludzi? Z drugiej strony ich był lepszy, bo mieli więcej wolności. Ale towarów brakowało tak samo jak w PRL-u albo

i bardziej. Dlatego całe to badziewie z demoludów schodziło na pniu. Rynek chłonał wszystko, jak w Polsce, tylko różnica była taka, że oni nie mieli żadnej własnej technologii, zero techniki i elektroniki, za to mieli materiały i krawców. Tania siła robocza. W Delhi od razu zobaczyłem, że przylecieliśmy z Drugiego Świata, tak się mówiło, a oni byli naprawdę w Trzecim, czyli w głębokiej, *sorry*, ciemnej dupie.

Wyczucie mnie nie zawodziło. Gadając z chłopakami z Poznania i Bydgoszczy, wszystko skumałem. Zegarki z NRD, golarki z ZSRR, suszarki z Polski – był popyt, bo nikt na miejscu nie potrafił robić takich urządzeń ani dobrego kryształu, o magnetowidach nie wspominając. Teraz już wszystko potrafią, produkują może nie lepiej, ale na pewno taniej. Albo kupują z Chin za grosze. Ludzi zawsze dużo, nawet za dużo, a więc tani pracownicy oraz wielki rynek. Nie musiałem chodzić z hipisami do Towarzystwa Przyjaźni ani na jogę, czytać maszynopisu o duchowości od mamy Radzia, żeby zrozumieć. On się cały czas dziwował, rozdziawiał usta jak dzieciak, bo zobaczył życie w najtwardszym realu ekonomicznym. Realu cyfr, który (wciąż w to wierzę) pozwala na obiektywne zmierzenie się ze światem, jest najbliższe zerwania zasłony mai, zbliża się do prawdy. Nie, że marksizm czy jakiś liberalizm; po prostu konkret liczb! Gorszy niż medytacja, ale lepszy niż to artystyczne pitolenie, na pewno.

Te mechanizmy, czarno na białym, wyświetlają się, gdy poznamy Kocia, zaraz z rana. A raczej koło południa, bo spaliśmy długo, odsypialiśmy, co nie? Obudziłem się, pamiętam jak dziś, zlany potem, kompletnie mokry. Otworzyłem okno i zaraz zamknąłem, skwar zrobił się nie do wytrzymania; hałas, smród walił do środka pokoju, choć w Delhi nie było smogu takiego strasznego jak teraz. Mycie wodą z wiadra i lepiej się czuję, ale pić się chce okrutnie, boję się tknąć wodę ciurkającą z kranu. Przed amebą mnie ostrzegano. U nas salmonella, a w Indiach ameba – choroby narodowe, że tak powiem. Radi udaje, że jeszcze śpi, boi się otworzyć oczy zasłonięte blond grzywką.

Wychodzę z pokoju jak z kapsuły dekompresyjnej, i zaraz jeden z pomagierów pyta: „Czaj? Tea?”. Kiwam głową, odchodzi, długo nie wraca. Nie mam lokalnej waluty, tych rupii, dolarami nie chcę płacić, nie jestem pewien, ile warta jest herbata. A pić się chce. Staję w drzwiach Relaxu, rozglądam się: wokół pełno ludzi, rowerowych rikszy, starych samochodów, żadnych nowych aut – nie to, co dziś. Oj, Indie się zmieniły!

Na straganach było mniej kolorowo niż teraz, ludzie na biało, jasno ubrani, ale i tak wrażenie chaosu. Wielka rzeka życia płynie w wąwozie między domami, podchodzi do mnie kobieta z dzieckiem na ręku. „Mister, money?”, wyciąga rękę. Jestem ze Szczecina, a zostaję misterem i bogaczem.

Nic nie dałem i może tym też od razu ściągnąłem złą karmę?

Zawracam do środka, gdzie jest bezpiecznie, żebraków nie wpuszczają. Otwierają się drzwi do „biura” Kumara, wychodzi Marek, ten z lotniska. Mówi, żeby wziąć mandżury, a on pomoże negocjować ceny z szefem. Idę, Radio już na nogach, razem na dół. A pić się chce. Znosimy wszystko, co mamy, w pokoju została jakaś baza na zmianę, ręczniki i szczoteczki do zębów.

W *office* już czeka zamówiona herbata, na koszt firmy. Biznes z Polakami, ale atmosfera azjatycka, normalnie jakiś Jedwabny Szlak. Kumar targuje się okrutnie, ja siorbię herbatkę z przyprawami, mlekiem i cukrem, słodką i mocną, teraz tylko taką lubię, masala czaj, ale wtedy mnie zaskoczyła. Oliwię organizm i zaczyna mi się podobać w Indiach. I kiedy dopiłem czaj, poczułem przypływ energii i wszedłem we wschodni styl negocjacji, przedstawiłem moje warunki, Kumar aż zaniemówił. On podaje swoje propozycje, ja mu odpowiadam, paląc papierosa, wkręcam się w zabawę. Taki handel – w to mi graj, sama przyjemność, szkoda, że na Akademii Ekonomicznej tego nie uczyli.

Wjeżdża kolejny czaj, wiadomo, Indie.

Marek mi potem gratulował, że jestem niezły zawodnik, a Kocio zaczął szanować albo udawał. Nawijał bajerę:

– O, ty jesteś, *bhajii*, brat, targujesz jak my. Ja myśleć, że ty być jogin Indie w poprzednie wcielenie!

Może to i racja. Zwraca się uprzejmie, wręcz przesadnie grzecznie, jeszcze nie wiedzieliśmy, że większość ludzi tak tutaj odnosi się do białych. Na swoich pracowników wrzeszczy okropnie, raz widziałem, jak walnął pomywacza w głowę. Za karę odrodzi się jako szczur.

Siedzimy we czwórkę w biurze, Radi wpatruje się w błyszczące wielorękie posągi Sziwy i słonioluda Ganesza, prosi bogów o przebaczenie, że tak słabo przywitał się z ich krajem. Wielki wentylator miele powietrze, a Kocio przekonuje:

– *Johnny, fix price!*

– Jaki *fix*, cena zależy od stosunku popytu do podaży i nigdy nie jest *fix* – ja mu na to.

On i tak nie rozumie, sam ledwie kumam język mojej uczelni.

– Zenit pięćset rupii, *fix price* – mantruje Kumar.

– *You łobuz*, tysiąc rupii – odpowiadam.

– No, no, ty złodziej, sześćset. Nie dam więcej!

– *You brother, gangster, you give* dziewięćset – odparowuję ciosy, obydwaj wiemy, że inwektywy nie są na poważnie.

– Moja rodzina! *Crying!* Bida nędza. – Ten o dzieciach, choć nikt nigdy nie widział jego mitycznej żony, synów i córek ukrytych gdzieś na przedmieściach Delhi. Nic dziwnego, że nie chciało mu się nawet wracać z Relaxu do domu. Od rodziny wolał biznes i podrywanie polskich dziewczuch.

– *Eight hundred rupees, last price*, albo idę inny hotel – szantażuję. Marek kiwa głową, to jest ta dobra cena.

Za jeden aparat płaciliśmy dwadzieścia tysięcy złotych polskich, dostaniemy koło sześćdziesięciu pięciu tysięcy.

Czyli trzykrotne przebicie.

W biznesie nigdy nie liczyłem z górką, zawsze w pamięci zaniżałem, żeby psychicznie mieć ochotę do walki. Potem, kiedy przycho-

dziło do ostatecznego rachunku, okazywałem się jeszcze bardziej do przodu, niż sądziłem, i to lubiłem. To były czasy.

Targujemy się ostro o cenę każdego zegarka i każdego kryształu. Marek zapisuje na skrawku papieru, jest moim asystentem, pokazuje liczby Kumarowi, ten kiwa głową jak każdy Hindus, nie góra-dół, tylko tak na boki. Myślę, że do dziś nie umie czytać ani pisać, tak jak ja liczy w pamięci, nie potrzebuje kartki i długopisu. Za to wciąż go lubię, bo on ma biznes w genach.

Ty to chyba nie?

Rozgrzałem się na dobre, targowanie sprawia mi frajdę, nie zamykam rokowań nawet wtedy, kiedy cena jest w porządku. Radio też się budzi, po kolejnej herbacie i drugim papierosie dochodzi do siebie i gra złego policjanta, po angielsku:

– *Friendship, we fight for freedom like you. Poland no colonialism, never. Poland no England, no USA!*

Nawet fajnie sobie wymyślił tę rolę, gada, jakby nałykał się propagandowych broszurek o solidarności z młodymi demokracjami Azji i Afryki. Może naprawdę zdążył je przeczytać? Neokolonializm, imperializm, te sprawy, i skoro wspólna historia narodów, to czemu pan Kumar traktuje nas jak Anglików i chce oszukać? Tak mniej więcej to szło, potem Radio udoskonalił scenariusz, był przekonujący w aktorskiej kreacji i dzięki temu uczciwie zarabiał na udziały w zyskach Szczecinexu.

– Ile macie whisky?

– Tylko dziesięć. – Mieliliśmy za dużo szpeju z Polski, żeby kupić więcej johnniego walkera, wzięliśmy w Dubai Duty Free na handel raptem po pięć na głowę.

– *One, fifteen dollars!*

Kocio przeszedł z przelicznika rupiowego na dolarowy, ja też muszę się szybko przestawić, cwana bestia z niego. Zaciągam się szlugiem i już wiem, w sumie łatwiej liczyć, bo za flaszki płaciliśmy w dolcach.

– Ty skurwysyn Hindu.

Boję się, że za ostro pojechałem. Kumar wie, że to grube określenie.

– Ty *moderco*d Polska. – Domyślam się, że tak po ichniemu jest skurwysyn. On nawija dalej. – *Ok, my family ruined. Eighteen dollars. If you have* dużo whisky, ja dać *twenty-five*, ale wy mało.

– *Ten bottles* nie jest mało. *Twenty is ok.*

Pochyliam się do przodu i dotykam jego ręki, odruchowo, ale oni to uwielbiają, bezpośredni kontakt. Kumar bierze moją dłoń w swoją.

– *You, Johnny, very good. All right, bhaji.*

Za alkohol po szesnastu dolców zarobku, na czysto wychodzi.

Razy dziesięć – sto sześćdziesiąt zielonych.

Yes, to było to. Uwielbiałem ten klimat.

Najlepsza przebitka, bo za aparaty i inną drobnicę z Polski zarobiliśmy po pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt dolców na głowę, więc zwracają nam się bilety LOT-u. Tak, Polskie Linie Lotnicze zawoziły obywateli do Indii za takie symboliczne pieniądze.

Uwierzysz?

Na deser i finał negocjacji, przy kolejnych, jeszcze bardziej nakręcających mnie do zabawy czajach, zostają odtwarzacze Sanyo. O ich cenę klócimy się ze trzydzieści minut, co najmniej. Śmiejemy się, gadamy po angielsku, polsku i hindusku, choć w ogóle nie znam tego ostatniego języka, aż Kumar proponuje, żebyśmy razem zjedli obiad. Woła pomocnika i klaruje menu. Czekaając na jedzenie, dobijamy targu, oprócz gotówki *room for free* aż do następnego samolotu do Warszawy, czyli przez tydzień. Pokój, to pamiętam, był po trzynastu–czternaście rupii, czyli za dolca.

Razy siedem – siedem zielonych to już zarobek dla biednego Polaka, który w kraju wyciąga dwadzieścia parę, góra trzydzieści miesięcznie – w gównu wartych złotych. Zarobiliśmy sporo, i to nie w NRD, tylko, rozumiesz, w Indiach! Dziś pomyślisz: tyle zachodu, ne-

gocjacji jak przed wstąpieniem do NATO, o kupę barachła z PRL-u? Tak właśnie było, ten towar otwierał nam nowy rynek pracy i kariery, co nie?

Wynegocjowałem ze cztery średnie krajowe pensje zysku.

Później zrozumiałem, że mogliśmy dostać jeszcze więcej za te sanyo, ale pocieszałem się, że to chłam z Pewexu, a nie cuda techniki z Singapuru. Przybijamy piątki, jestem zadowolony, nadchodzi jedzenie i pierwszy raz jem *chicken curry*. Nie wiem, jak się do tego zabrać, przed nami leżą paczki zawinięte w stare gazety, na szczęście pomagier przynosi talerze, rozpakowuje.

Czujesz klimat? Żarcie nie w knajpie, tylko *business Indian lunch*?

Mięso jest specjalnie dla nas, Kocio wcina ser w sosie szpinakowym, do tego placki ćapati, pogryza cebulę z limonką i ryżem. Stara się być dobrym hinduistą i wegetarianinem.

– *Fork*, widelec?

– *No, no*, nie.

Chcemy być *cool* i jemy jak on palcami, ocieramy pot z czoła, żarcie jest piekielnie ostre, żadnej taryfy ulgowej dla gości z Europy. Kumar zapomniał o naszych niewyrobytych podniebieniach. Dzięki temu od razu, od początku pobytu, wiemy, jak powinno wyglądać indyjskie jedzenie, czym się różni od ściemy dla hipisów.

Oblizuję palce prawej ręki, szybko się uczę i podpatruję, że on nie używa lewej, więc naśladuję gospodarza, a Radio mnie papuguje, jak to robił pół życia. Zapamiętałem posiłek w biurze, bo dzięki Kumarowi mieliśmy fajne wejście w lokalny klimat. Nie wiedzieliśmy, że czeka nas jeszcze wiele pułapek. Kocio beka na zakończenie posiłku i rzuca uwagę, że na trawienie dobrze robi alkohol. Zrozumieliśmy aluzję i Radi skoczył na górę, gdzie ukryliśmy jednego średniego jasia. Na zapas, ale było co opijać. Wiedziałem, że na szefa Relaxu trzeba uważać, nie ufać mu nigdy w pełni, choć dobrze mieć w nim oparcie na początek.

Walnęliśmy po pierwszej szklaneczce, a ten typ pyta:

– Wyplata w towar?

– Nie, nie, gotówka. *Cash only!* – protestuję, bo chcę mieć dolary w rękę. Mimo to dopytuję o szczegóły. Chcę wiedzieć, jakie ceny oferuje.

Cholerny stary kocur, targi wcale się nie skończyły, bo gotówka a hinduskie szmaty to różnica, nie? Wychodzi na to, że wypełnimy cztery nowe torby, Kocio twierdzi, że większe niż polsporty, sakwy chce dorzucić bonusowo. Cwaniak kuty na cztery nogi, skąd mam wiedzieć, jak duże będą te toboły, co się w nich zmieści i ile to będzie warte? Przekonuje nas i umawiamy się, że następnego dnia obejrzymy te jego koszulki, kiecki, szale, biżuterię, paski. Nie miał wtedy jeszcze składu w Relaxie, trzeba się było wybrać do magazynu, więc stanęło, że jutro, bo za drzwiami biura od dawna czekają kolejni Polacy ze swoimi plecakami.

Wychodzimy zadowoleni, ściskamy się z Kumarem na oczach innych „turystów” i już mamy u ziomeków opinię niezłych kozaków. Niedopite ponad pół flaszki whisky zabieram ze sobą, też jestem cwany. Jesteśmy obżarci i już zmęczeni, organizm dopiero adaptuje się do tropików. Marek proponuje, żebyśmy poszli na dach i odpoczęli. Zamawia tylko wodę mineralną i lodowatą limkę u jednego z identycznych pomocników Kumara. Nie potrafiłem rozpoznać, czy to ten sam koleś, który przynosił jedzenie, czy ten, co wczoraj wskazał nam pokój, czy jeszcze inny. Wszyscy tak samo chudzi, zabiedzeni i brudni, było mi ich żal, spali pokotem, gdzie się da w Relaxie, szef wykorzystywał ich strasznie. A my mieliśmy pokój, u szefa obiecano dolary i flaszkę whisky do wykończenia. Miłe złego początki, mimo wszystko to były piękne negocjacje! Mógłbym uczyć tych durnych backpackersów, ale do targowania się trzeba mieć serce i smykałkę.

Pan Sakar

Powietrze stało nieruchome, wiatr ucichł prawie zupełnie, w oddali słońce znikало za tężejącymi chmurami. Zamglone powietrze gęstniało i ciemniało w mrok nad jednym z najbardziej rozległych miast świata. Zamazywały się kontury domów po drugiej stronie ulicy, mimo to obserwowałem kobiety gotujące tam w małych klitkach, niańczące dzieci, rozmawiające w grupkach, wywieszające pranie. Niczym maharadża siedziałem wygodnie na kolorowych matach i wydawało mi się, że mam jak na dłoni olbrzymie, nieco złowieszcze Delhi. Podglądałem życie sąsiadek, a w dole ulica wciąż szumiała wezbrana tłumem ludzi, zaprzęgów, wozów, motorowych riks. Klaksony, okrzyki, wszystkie dźwięki, które słyszałem, zasypiając o świcie, teraz były zwielokrotnione i wzmocnione.

Uświadomiłem sobie, że jeszcze nie opuściłem hotelu, nie wyściubiłem nosa za próg, nie znam stolicy Indii. Taki ze mnie podróżnik, choć obiecałem matce zwiedzać zabytki i dotknąć Wschodu. Przyznaję, że się bałem. Indyjska ziemia obiecana sprawiała na mnie wrażenie zacofanego, ubogiego piekła. Jeszcze wiele razy śniły mi się po nocach zęby splamione krwią, czułem obrzydzenie, ale to był czar ohydny i urok niepojętego.

Zapytałem Marka, co warto zobaczyć w mieście. Nie wiedziałem, jakie są najważniejsze atrakcje turystyczne. On się zaśmiał, że ci z wycieczek Orbisu to nawet do pobliskiej Agry nie jeżdżą, ich pilot pracuje

już parę lat na subkontynencie, ustawia im handel i sam przemycą na potęgę. Marek chciał rozmawiać o czymś innym niż muzułmańskie ruiny, ale dowiedziałem się przynajmniej, że jesteśmy na bazarze Pahargandź, blisko dworca kolejowego i starej części miasta. Na piechotę można dojść do Czerwonego Fortu nad rzeką Dżamuną, więc natychmiast chciałem się tam wybrać. Obiecał, że później pokaże mi drogę. Janek leżał, palił i gapił się w ciemniejące niebo, nie słuchał. Pewnie się zastanawiał, czy dobrze wyszły pertraktacje z Kumarem, czy nie straciliśmy kasy. Marek zdjął już dres, paradował w krótkich spodenkach i czerwonej koszulce z białym logo Marlboro. Teraz siedział ze skrzyżowanymi nogami, ręce oparł na kolanach dłońmi ku górze. Pomyślałem, że siedzi jak Marlowe na początku *Jądra ciemności*, a zarazem pulchne policzki i rumiana cera upodabniały go do tłustego, ironicznie uśmiechniętego Buddy.

Jeden z chudych chłopców na posyłki, o zapadniętej twarzy i złotej, a nie brązowej cerze, przyniósł popitkę i kubki. Marek połał naszą whisky.

– Panowie, co dalej? Jaki plan?

Poprawił okularki. Jak się później okazało, tym pytaniem zmienił nasze życie, choć już przyjazd do Indii był zdecydowanym ruchem, który wykonaliśmy na własną rękę i własne ryzyko. Zupełnie sami, własna inwestycja, własna odwaga, we dwóch.

– Sprawdzimy ceny na mieście. Zobaczymy, czy warto brać rzeczy Kocia, czy gdzieś są lepsze stawki? – Janek usiadł, napił się. Po chwili odpoczynku znów zaczął kombinować.

– Warto się rozejrzeć, tylko uważajcie, żeby Kumar się nie obraził. Zasada jest prosta: on daje pokój tanio albo za darmo, w zamian wy sprzedajecie i kupujecie u niego. Towar za towar, przysługa za przysługę. Jeśli złamiecie układ, nie będziecie mieć u niego mety. Chcecie tu wrócić?

– Na razie nigdzie się nie wybieramy, chcemy zorientować się w sytuacji. Ciuchy raczej wyślemy paczkami, podobno tak się da?

– Tak, pokażę wam skąd. Macie ludzi w kraju, żeby odbierali?

– Czekają i przebierają nogami. – Janek irytował mnie, kiedy grał cwanego twardziela, ale przynajmniej zmierzał do celu. Zaraz dopytał, dramatycznie zawieszając głos: – Słyszeliśmy, że warto zobaczyć Singapur?

– No właśnie. Elektryczne bajery i ciuchy z powrotem to detal: małe ryzyko, małe pieniądze. Wy macie większe ambicje niż *cotton club*? To mi się podoba, *straight to the point*.

Nie znaliśmy tego angielskiego powiedzonka, domyśliliśmy się jednak, że kotoniarze to drobni handlarze bawelną.

– Ja widzę, już na lotnisku zauważyłem, że macie głowy na karku, więc miałbym dla was propozycję. Wideoodtworzacze, kamery, trochę mniejszej elektroniki z Singapuru. Zainteresowani?

– Jasne! – przytaknąłem, trochę zbyt entuzjastycznie, ale na hasło Singapur aż zadrżałem z podniecenia.

Ciągi skojarzeń: tropikalny upał i cień nadmorskiej esplanady. Wielki port, dawna kolonia, cieśnina Malakka, wrota do dalszej Azji, do Indonezji, pełne szaleństwa Almayera, dalej Australia i wielki Pacyfik, Tahiti, Gauguin. Statki: parowce i żaglowce, halsowanie żagli czy jak to się nazywa. Nigdy nie pływałem, ale czytałem, poza tym ojciec był marynarzem, za młodu nawet oficerem na kontenerowcu. Poczulem może nie powołanie do służby na morzach wschodnich, ale zew przygody. Oczywiście wyobraźni już widziałem piratów, korzenne przyprawy, tubylców; plaże, palmy i tańce wokół ognia; wielkich odkrywców, Conrada i Tony’ego Halika. Uwielbiałem jego programy, chciałem pieprzu i wanilii, solidarności z uciemieżonymi krajowcami. Po to właśnie wyjechałem z domu; interesy służyły temu, żeby zarobić na podróż.

Thusty Budda w okularach się uśmiechnął, miał nas w garści.

– Dostaniecie bilety do Singapuru i parę tysięcy waluty do przewiezienia.

„Dostaniemy” – myślałem gorączkowo. My. Bilet. Pieniądze. Taka historia! Na miejscu nocleg, też na koszt szefa, który odbierze gotówkę. Oddamy pieniądze, nie są dla nas, ale przynajmniej będziemy wiedzieli, jak takie zwitki wyglądają, ile ważą i jak pachną. Szef zabierze kasę i wyda nam towar do przywiezienia. Z powrotem w Delhi zainkasujemy po dwieście dolarów na łebka.

Słuchałem, nie wierząc własnym uszom, niczym legendy o księdzu Janie, mitycznym chrześcijańskim władcy Indii. Marek snuł ją zapewne już wiele razy. Mieliśmy polecieć jeszcze dalej przed siebie, smakować egzotyczne życie i na koniec zarobić niewiele mniej niż na całej skomplikowanej ekspedycji z Polski. Za jednym zamachem. Po dwa frankliny na głowę. Za latanie po świecie, płacą za podróżowanie! Bez chodzenia po sklepach, czekania na wideo, załatwiania i kombinowania. Dwieście dolców do ręki. Tyle nie zarobiłem przez wszystkie lata grania na basie w Generacji; to było tyle, ile wyciągaliśmy z Jankiem na podróży do NRD. Chciałem krzyknąć z radości. Mój współnik usiłował zachować kamienną twarz.

– Przywiezienie sprzętu jest nielegalne? – zapytał.

– Nielegalne jest również, szczerze podkreślam, wywożenie dużej gotówki z Indii. Dlatego aż tyle zarobicie. Bilety i hotel to kupa kasy, ale to bierze na siebie firma.

– Firma?

– Tak to nazywamy, ale nie bójcie się, nasz boss w Singapurze to porządny facet, ma ksywę Szewc, bo dobrze buty szyje... – Marek zachichotał jak oświecony bożek. – Polonus ze starej emigracji, wykształcony. To nie jest dworzec Keleti, tu nie pracujemy z bandziorami! Jesteśmy elitą, *crème de la crème* Polski Ludowej. Niedługo przyjdzie nasz współnik, Hindus, w porządku gość, musi was poznać, ale na pewno, tak jak ja, stwierdzi, że się nadajecie.

Chcieliśmy wiedzieć od razu więcej, niestety, przyszła grupa, z którą widzieliśmy Marka na lotnisku, obsiedli tłuściocha jak guru. Raczej młodzież, nasze pokolenie, tacy do ogniska i gitary, choć jesz-

cze nie hipisi. Naprawdę jechali zobaczyć Agrę, a handel zwracał im koszty podróży. Wypytywali o ceny, miejsca, knajpy, słuchali, jeden z chłopaków nawet zapisywał w notesie. Ja też przynajmniej dowiedziałem się paru detali; ile kosztuje czaj, ile placek, ile fajki. Z rachunków, jakie usiłowałem wykonać w pamięci, wynikało, że życie w Indiach jest bardzo tanie. Tyle zrozumiałem.

Jedna z Polek, Jola, miała kasztanowe włosy o głębokiej, nasyconej barwie i rodzaj uroku, który skojarzył mi się z Magdą, choć wydawała się starsza i od niej, i ode mnie. Z krążącej kolejnej butelki popijała whisky drobnymi łykami. Tym razem to nas częstowano, więc uznałem, że Marek jest w porządku, choć wcześniej tak swobodnie polewał nasz alkohol. Ktoś zrobił skręta z marihuaną, obie używki krążyły naprzemiennie, wziąłem macha, potem następnego. Mrok całkowicie zgęstniał, w oknach domów po drugiej stronie ulicy ślizgały się płomyki świec, palenisk, uruchamiano generatory prądu.

Zjawił się Hindus, ubrany nie jak Kumar w zachodnie spodnie i koszulę z kołnierzykiem, lecz w dhoti – długi kawałek białego materiału owinięty wokół nóg – i bluzę ze stójką; identyczną nosił pierwszy premier Indii. Zasugerował, żebyśmy porozmawiali na osobności. Zeszliśmy na dół, ledwo zmieściliśmy się w naszej klitce, choć po sprzedaniu plecaków wraz z zawartością zrobiło się w niej trochę miejsca.

Hindus przedstawił się jako Sakar, choć może przekręcam, nie mam pamięci do nazwisk. Niższy i grubszy od Kocia, gładko ogolony, jowialny, uśmiechnięty. Przyjrzał się nam uważnie, pokiwał głową i polsko-angielskim slangiem wytłumaczył patent na TBR – Tourist Baggage Reexport Form, twór indyjskiej biurokracji. Formularz miał ratować kraj przed zalewem tanich urządzeń z Azji, a działał dokładnie odwrotnie. Przekraczając granicę, każdy miał obowiązek zgłosić elektronikę: aparat fotograficzny, kamerę czy magnetowid. Dostawał

wtedy wpis do paszportu z numerem seryjnym danego egzemplarza sprzętu.

Ten sam ciąg cyfr umieszczano na stikerze kolejnego odtwarzacza wideo lub kamery w singapurskich warsztatach polskiej Firmy. Wcześniej usuwano fabryczne naklejki z prawdziwym numerem seryjnym. Nalepiano nowy kod, cyfry i litery psikano jeszcze lakierem do włosów. Stiker trzymał się jak oryginalny, nawet wystawiony na próbę palca celnika. Trzeba było tylko pilnować, żeby każdy, kto wynosi sprzęt, na granicy dostał wideo lub kamerę z takim samym numerem TBR jak w paszporcie.

– To pracujemy razem? – dopytywał Sakar.

– Yes, yes. Good – zaręczył Janek za nas obydwu, choć ja się nagle wystraszyłem.

– Ok. Pokażcie mi paszporty.

Zdziwiliśmy się, ale Marek gestem dał znać, że nie mamy powodu do obaw. Pan Sakar przejrzał nasze dokumenty, wyglądał na uspokojonego.

– Jutro wieczorem, o siódmej, w moim sklepie. Sahib Marek wam pokaże. Dostaniecie bilety i pieniądze. Ruszacie pojutrze, wizy są wydawane na lotnisku w Singapurze.

Pan Sakar podciągnął tkaninę dhoti i się pożegnał.

– O kurwa – wyrwało mi się, choć przeklinałem dużo rzadziej niż Janek. – Tak szybko?

– Akurat zdążycie wysłać paczki do Polski i coś obejrzeć.

– Nie uprzedziłeś nas, że robota jest od zaraz. Chciałem zwiedzić starówkę!

Zacząłem mieć pretensje, ale Janek mnie uciszył.

– Zwiedzimy po powrocie. Ty, a czemu on oglądał nasze paszporty? To nie jest jakiś agent? Można mu zaufać?

– Spokojnie. Chodzi o to, że wielu Polaków ma za dużo indyjskich stempli. Trzeba kombinować i je zmywać, a celnicy mogą kojarzyć

twarze ludzi, którzy często kursują. Wy jesteście nowi, macie świeże paszporty, więc jest mniej ściemniania i mniejsze ryzyko. Poza tym Hindusi tak mają, chcą znać współpracowników, dlatego musieliście z nim się spotkać. Wracajmy na dach, duszno tu u was.

Rzeczywiście, czterech koleś wbiło się do małego pokoju, a z kibla szedł fetor.

Wyszli, ja potrzebowałem chwili, żeby przemyśleć sytuację. Uświadomiłem sobie, że Marek musiał nam się przyglądać i oceniać nas pod kątem zatrudnienia w Firmie już od spotkania na lotnisku. Wiedział, że jesteśmy pierwszy raz na Wschodzie, ale dobrze się tu odnajdujemy, nie mamy cykora, więc zasugerował nam większy szmugiel. Ludziom, z którymi przyleciał, nie zaproponował Singapuru; mówił, że są pierdołami. Część z nich dołączyła jednak później do przeważów – tak to nazywaliśmy.

Siedział w tym biznesie od dawna, znał się dobrze z Sakarem. Ten Hindus też musi być grubszą rybą. Przychodzi do Relaxu co tydzień? Zjawia się co wtorek, kiedy LOT ląduje w Delhi, i wie, że znajdzie Polaków chętnych do pracy? Werbuje młodzież złaknioną przygód? Wyglądało na to, że trafiliśmy w środek nielegalnego międzynarodowego biznesu. A czego innego się spodziewałem? Skoro w Szczecinie doszły nas słuchy, że mirra, kadzidła i złoto czekają na Wschodzie. Janek rozmawiał z kolegami z Poznania, którzy na tym się dorobili. Dużo ludzi w tym siedziało, wielu Hindusów, wielu Polaków, my dołączaliśmy zgodnie z planem. Przecież po to przylecieliśmy, ale dopiero wtedy w Relaxie zrozumiałem, w co się pakuję.

Musiałem być upalony, marihuana w Indiach okazała się dużo mocniejsza niż polska trawka, którą popalaliśmy z zespołem. Wpaływałem się w wiatrak wolniutko kręcący się pod sufitem. Zahipnotyzował mnie, myśli zwalniały, dostosowały tempo do zepsutego wentylatora. Jeszcze rok temu grałem w niezależnej kapeli. Całkiem niedawno wierzyłem, że *no future*, a teraz jestem w Azji i mam lecieć


do Singapuru. Mogłem odmówić, wrócić do Polski już w czwartek, mimo że mieliśmy *open ticket* na trzy miesiące. Najbliższy powrotny samolot do domu wystartuje tego samego dnia co ten na Daleki Wschód. Mogę wrócić i co dalej? *No future?*

Inny wariant: odmówić Markowi i Sakarowi, zwiedzić Indie, wydać te dolary, które już zarobiłem. Zostawić Janka z jego ambicjami i ruszyć własną drogą. Jaką? Dokąd prowadziła? Nie miałem żadnego własnego pomysłu na życie, żadnego celu. Wróciłbym do Polski bez kasy: wchodzę do domu, chwalam się siostrze, przywożę mamie jeden szal na pamiątkę, opowiadam, co zobaczyłem. Od października wracam na studia, nudzę się i marzę po nocach o Magdzie, w końcu znajduję narzeczoną, płodzę dziecko, biorę ślub, czekam wiele lat na własne mieszkanie...

„Twoja ambicja zabija ciebie. Ambicja to twój bóg” – śpiewali Deadlock po angielsku i Kryzys po polsku. Może starsi koledzy mieli rację, ale co z tego? Ja byłem już z następnego pokolenia i miałem swoją ambicję! Nie wiedziałem jeszcze jaką dokładnie, ale czegoś chciałem... W Relaxie leżałem upalony i drinknięty, chyba dzięki temu tak przytomnie wyobrażałem sobie przyszłość, nigdy wcześniej tego nie robiłem, zatopiony w tu i teraz. Może spowodował to indyjski szok albo wentylator powoli zataczający nade mną kręgi; może połączenie wszystkich doznań. Po raz pierwszy i jak nigdy potem, dopóki nie dorosłem, medytowałem o tym, jak może potoczyć się moje życie. Gapiąc się w sufit, zrozumiałem, że gdybym w tym momencie zawrócił, od razu bym żałował, znowu straciłbym Janka z oczu i rozmyślał, czy wróci z Azji do miasta. Pozostałoby czekać i prosić, żeby dał mi jeszcze jedną szansę, znów zabrał starego kumpla, który się wystraszył, choć na mały handelek w NRD. Doznałem oświecenia i wiedziałem, że nie mam już wyjścia, muszę polecieć do Singapuru.

Pstryk – i objawienie się skończyło. Chciałem do końca się znieczulić, więc poszedłem do nich pić z moim kamratem i innymi Polakami. Na dachu w New Delhi, w ciemności, we wciąż obcym, nie-

znany mi kraju. Bałem się go, ale zarazem mnie urzekał. Jakbym wpatrywał się w oczy węża, któremu fakir gra na fujarce – oczarowany wizją wielkiej przygody.



Lata osiemdziesiąte, ostatnia dekada PRL-u. Muzyk Radek i jego przyjaciel Janek to szचेcińskie młode wilki. Marzą o lepszym życiu. Magda, ich licealna miłość, wyjeżdża z ojcem na placówkę do Indii. Chłopaki także ruszają w świat. Zaczynają od drobnego przemytu z NRD. Przez Budapeszt trafiają do Stambułu i dalej – do Singapuru. Szmuglują magnetowidy, a potem złoto. Na ich drodze stają przeszłość oraz ambitny jak oni radca ambasady.

Sensacyjna fabuła kryje autentyczną opowieść o zapomnianych początkach polskiej transformacji; o fachowcach działających zarówno w szarej strefie, jak i w polskiej dyplomacji w Azji.

Prince Polonia to gra z kulturą niską i wysoką. Moralne rozterki bohaterów są tu równie ważne jak piosenki zespołu Banda i Wanda czy kolczyki Anny Jurkiewicz. Bo czy filmy oglądane na wideo oraz dekolty Sabriny, gwiazdy italo disco, nie przyczyniły się do upadku komunizmu na równi ze skokiem Wałęsy przez plot?

www.magnesy.com.pl



9 788366 500327

cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



OCZEPOLSKA

Xlegarnia.pl

VOGUE



lubimyczytać.pl

w sprzedaży także

eBOOK